

Bohdan Stefan Winiarski, *Nad Pissą, Wissą i Narwią, fragment*

Drugie wspomnienie z tamtych lat zupełnie inny obraz maluje. Jest zima. Śnieg przysypał wszystko, miejscami na chłopa. Leśną drogą, kopną sanna przebijamy się z Ostrołęki; dzieciak jak zawsze między Ojcem a Matką, otulony, że mu tylko oczy widać. Do domu! Na myśl o ciepłym pokoju i łóżku cicho, wewnątrz drży z niecierplivej radości. Na wieczór docieramy do Dąbrówki, ale upragniony powrót tu się właśnie odwleka. W Dąbrówce, przy kościółku należącym już do płockiej diecezji (nasza parafia jest w Nowogrodzie) siedzi dobry przyjaciel rodziców, setny szlachcie, ksiądz Bernard Włostowski. On to panu Stanisławowi i pani Jadwidze chrzczył pierworodnego i mimo całą przyjaźń nie chciał mu dać na pierwsze pogańskiego imienia Bohdan; za czym to poszło na drugie, a na pierwsze już zgodnie (cóż było robić?) dano mu Stefan. Teraz rozlegają się radosne powitania, zaczyna się ożywiona rozmowa, tu już samowar szumi, mruczy, śpiewa na stole – „przynajmniej herbaty się napijecie!” – a malcowi, żeby zanadto się nie nudził, rozkładają na fotelu ogromną księgę, w której pełno, co parę kart, dziwnie przykuwających uwagę obrazków. Tłumy ludzi, wszystko w ruchu szalonym, w geście wielkim, pełnym patosu: Pismo Święte z ilustracjami Dorégo. Dzieciak ogląda do końca i z powrotem, potem siada byle gdzie i zasypia. Nie czuje nawet, jak mu znowu nakładają szubę, jak go otulają w chusty i dery, z których go niedawno rozwinięto, jak wynoszą do sanek. Nie odczuwa radości powrotu ani wie, jak i kiedy znajduje się w kochanym łóżeczku.

Te lata spędzone w Bohdanowie to najszcześniejszy okres we wspólnym życiu moich rodziców. Tu Ojciec, wówczas dobiegający trzydziestki, po odbyciu potrzebnej praktyki mianowany został podleśnym, tu zbudował dom i wprowadził doń młodszą o lat z górą dwanaście żonę; gdy im w parę lat później Bóg dał syna, Matka nie była jeszcze pełnoletnia.

Stosunki w nadleśnictwie nowogrodzkim były najmiłsze w świecie. Ton nadawał wysoce kulturalny dom państwa Żbikowskich; koledzy Ojca byli to ludzie zacni i sympatyczni. Najbliższa przyjaźń łączyła rodziców z domem państwa Rayskich, młodych jak oni sami; pani Felicja została moją chrzestną matką, ojcem był pan Jan Piekarski, młody adwokat z Łomży, który przez małżeństwo wszedł do kręgu bliskich znajomych rodziny mej Matki. Wuj Wojtuś Gąssowski, cioteczny brat Matki, towarzyski, wesoły, dowcipny, mieszkał w odległej o parę mil Ostrołęce jako obrońca sądowy.

Dziad mój po Matce, Feliks Mystkowski, miał jeszcze wonczas niewielki, ale piękny mająteczek Chmiele-Pogorzele, tuż przy szosie prowadzącej z Zambrowa do Czyżewa. Z Ostrołęką, Łomżą i Ostrowią łączyły rodziców miłe znajomości. Mieszkając w Puszczy, utrzymywali przecie stosunki towarzyskie; bywali od czasu do czasu, bywano i u nich. Przy takiej sposobności podziwiano nieraz mądrość pierworodnego, który kiedyś, zapytany, czym by chciał być, odpowiedział z powagą:

- Wyciupem.

- Kto wie? – mówił, uśmiechając się życzliwie, ksiądz Wincenty Sienkiewicz, proboszcz nowogrodzki. Może i będzie biskupem.

Losy, wszakże, miały zrządzić inaczej.

Wkrótce potem aspirant do godności biskupiej pokazał, co potrafi. Pewnego dnia porwał gości na równe nogi wrzask z sąsiedniego pokoju. Pobiegli wszyscy i zaczęli uspokajać stojącego koło komody i drącego się w niebogłoso malca. Nic nie pomagało. Jedna z pań wyraziła przypuszczenie, że go coś boli, i zaraz postanowiła je sprawdzić.

- Co cię boli, Bohdanku? Powiedz, co cię boli?

- D...! – wrzasnął ogromnym głosem kanacek. Panie jakby wydmuchnęło z pokoju. Zostawszy w towarzystwie panów, którzy śmiechu powstrzymać nie mogli, Bohdanek uspokoił się od razu. Jeszcze długo potem Matka, wspominając tę konfuzję, wzdychała:

- Taki wstyd, mój Boże, taki wstyd! Skąd on się tego nauczył?

A któż to może wiedzieć, kochana Mamusiu, jakimi drogami stare polskie słowa dochodzą najlepiej strzeżonych uszu dziecięcych?

Nie wiem, czy rodzice trzymali jaką gazetę – myślę, że nie – ale przychodziły co tydzień „Tygodnik Powszechny” i „Bluszcz”, bo w ich rocznikach porządnie oprawnych rozczytywałem się później i na ich drzeworytach uczyłem się rysować. Ojciec kupował i czytał książek sporo: w mahoniowej oszklonej szafie bibliotecznej obok trzynastotomowej *Encyklopedii* Orgelbranda w półskórek oprawnej były dzieła naszych wielkich poetów, było wydanie zbiorowe powieści Kraszewskiego i *Historia Hellady i Rzymu* Hertzberga, i *Logika* J. S. Milla, i dwutomowa *Historia Francji* Dziekońskiego, i wspaniałe wydanie *Lilii Wenedy* z ilustracjami Andriollego, i wiele innych, które się przechowywało troskliwie, póki zawierucha wielkiej wojny nie rozproszyła ich ostatecznie.

Dobre to było środowisko, ci urzędnicy lasów rządowych. Ludzie do gruntu prawi, skromni, światli, choć leśnicy z wyższym wykształceniem, jak pan Żbikowski, trafiali się rzadko, rozmiłowani w lesie i oddani swej służbie, tworzyli korporację wzorową, na wskroś przepojoną polską tradycją administracji lasów narodowych. Kiedyż bo to i była jedyna gałąź

służby publicznej, która w dwadzieścia lat po powstaniu zachowała swój polski ustrój i charakter. Kto się do niej dostał, mógł być pewny, że w niej spokojnie i godnie przepracuje życie, chyba żeby, broń Boże, dopuścił się jakiego czynu hańbiącego. Ale to się nie zdarzało. Zdarzali się natomiast leśnicy od paru pokoleń, jak choćby mój Ojciec.

Taka przyszłość zdawała się słać i przed nim. Skromna, ale pewna, prosta i jasna. Czy jednak leśnictwo mogło pozostać nietknięte, gdy w kraju już od lat kilkunastu niszczone zapamiętałe odrębne instytucje państwowe polskie, wprowadzając obce naszemu prawu, tradycji, duchowi, urządzenia rosyjskie? Ile – poza tragedią narodową – tragedii ludzkich, osobistych i rodzinnych, pociągała za sobą ta polityka *objedinenija* i *obrusienja*, Bogu tylko wiadomo. Musiała ta bieda przyjść i na Puszczę. Jakoż ukaz cesarski z r. 1886 nakazał znieść dotychczasową polską administrację lasów rządowych i wprowadzić organizację rosyjską.

Z początku skutki ukazu nie dały się odczuwać na niższych stopniach służby, ale w ciągu paru lat następnych zaczęto już i tutaj usuwać Polaków, mianując na ich miejsca sprowadzonych z głębi Cesarstwa Rosjan.

W nadleśnictwie nowogrodzkim ostał się pan Żbikowski; wśród usuniętych podleśnych był i mój ojciec, któremu w drodze łaski oświadczono, że o ile chce pozostać w leśnictwie, może objąć stanowisko „starszego objazdowego straży leśnej”, jak się to teraz nazywało. Cóż było robić? Ojciec nie miał innego zawodu, zgodził się więc i na to, póki by sobie czegoś innego nie obmyślił. Ale nie mógł przejść na niższe stanowisko w tym samym nadleśnictwie. Wkrótce przyszedł rozkaz objęcia nowej służby pod Makowem.

Z ciężkim sercem opuszczali Rodzice dom w Bohdanowie, który był świadkiem ich szczęścia. Nie mieli go już nigdy zobaczyć.

* * *

Zamieszkaliśmy tedy w Wąskim Lesie niedaleko Makowa.

Dom był nieduży, jednak można było się w nim pomieścić bez wielkiego kłopotu. Tryb życia z początku mało się zmienił, ale co za różnica z Bohdanowem! Naprzód Rodzice znaleźli się daleko od wszystkich, z którymi łączyły ich dobre, nieraz serdeczne stosunki, a którzy zostali po tamtej stronie. Tutaj jedynie w Sątrzasce pod Przasnyszem, do której teraz było bliżej, mieszkała za mężem pani Waleria Olszewska, z domu Krassowska, serdeczna jeszcze z pensji przyjaciółka Matki i dlatego ciocią Walercią zawsze u nas nazywana. Jak przez mgłę przypominam jazdę do Sątrzaski i odwiedziny cioci u nas, kiedy to z jej córeczką, a swoją rówieśnicą, bawiłem się w chowanego pod rozrostłymi krzakami jaśminów, bzów i spirei, okalającymi niewielki przed domem dziedzińczyk.

Tam w Puszczy Rodzice mieli błogie uczucie, że im równo, pewnie upłynie w niej życie; teraz, zamieszkawszy na samym skraju wielkich obszarów leśnych, czuli się naprawdę na wylocie. Jakże mogło być inaczej? Nader skromne uposażenie pozwalało wieść życie na niższym, zapewne, wszelako jeszcze możliwym poziomie, póki starczyły jakieś zasoby; ale jak długo? I jak gdyby na świadectwo, że niepowodzenia nigdy nie chodzą w pojedynkę, dziad Mystkowski musiał wyjść z Chmiel, które kupili krewni Matki, Podbielscy; wyszedł tak jak stał, ruszył do Warszawy, jak wielu przed nim i po nim, i tam po długich poszukiwaniach ten rolnik i były powstaniec zaczął się jako rządcą jednej z kamienic warszawskich. Babkę, Barbarę z Podbielskich przygarnęli na razie Rodzice – i już u nas została. Utrata majątku i nieuleczalna choroba naprzód pogrążyły ją w melancholię, potem przesłoniły łagodnie jej umysł i ten stan trwał do końca jej męczeńskiego żywota, który był także moich rodziców umęczeniem; znosili je z przywiązaniem i cierpliwym poddaniem woli Bożej.

Psuć się zaczęło i w rodzinie Ojca, której wcale nie znałem, mieszkała bowiem tak daleko, że swym dziecinnym rozumkiem ogarnąć tego nie mogłem; za lasami, za rzekami, w powiecie opoczyńskim. Rodzice moi byli tam dwukrotnie i Matka nieraz potem mówiła o trwodze, jaką napawała ją przeprawa, na kilka tygodni przed moim urodzeniem, po kruchym już bardzo i pękającym lodzie Pilicy. Wkrótce potem dziad mój Hipolit i babka Michalina z Burzyńskich przybyli do Bohdanowa, aby ujrzeć nowonarodzonego wnuka po raz pierwszy i ostatni. Teraz siostra Ojca, ciocia Stefcia, przyjechała do Wąskiego Lasu i została z nami przez parę lat, pomagając Matce w gospodarstwie.

Ale ja o tych sprawach rodzinnych nie miałem pojęcia. Byłem w borze i byłem szczęśliwy. W ruchliwej swej służbie Ojciec brał z sobą chłopca często, jakby chciał, żeby sobie dobrze, na całe życie, zapamiętał Puszcę, którą mieliśmy wkrótce opuścić bezpowrotnie. Wśród zimowej białej ciszy przesuwaliliśmy się sankami w jednego konia. Kiedy indziej bryczuszka zagłębiała się w piaszczyste koleje albo stukała i podrzucała na potężnych korzeniach leśnych dróg tak, że malcowi głowa kiwała się na wszystkie strony, z czego obaj, ojciec i syn, śmiali się serdecznie. Strzelba pod ręką, pies przy koniu. Ojciec lubił psy i żałował, że nie mógł zatrzymać ogromnego, nie wiem już jakiej rasy psa, którego mu pewnego razu przyprowadzono; wabił się Ambo, a miał głos tak potężny, że gdy raz tylko szczeknął w kuchni swym basem, zgasił lampkę naftową.

Ojciec polował z upodobaniem, ale byłem za mały, żeby mnie brał z sobą. Czasem w zwykłych rozjazdach coś się ustrzeliło przygodnie, a wtedy huk wystrzału i zapach prochu sprawiały we mnie radosne jakieś podniecenie. Czasem znów Ojciec mówił:

- Chodź, zapolujemy na szczury.

Szczury były plagą Wąskiego Lasu. Były w stajni, w oborze, w chlewie. Truło się to paskudztwo, jak mogło, ale bez wielkiego skutku, bo ich jakoś nie ubywało. Polowanie było z przynętą i polegało na tym, że gdy przyrządzono karmę dla prosiąt, nie wypuszczano ich jeszcze do koryta, my zaś zasadzaliśmy się nieopodal w krzakach za płotem, Ojciec z dubeltówką gotową do strzału. Musiałem być bardzo cicho, gdyż inaczej cała zabawa na nic. Nie trzeba było długo czekać, żeby szczury zaczęły ściągać do zastawionej uczty. Skąd? Chyba spod ziemi. Wtedy jeden strzał śrutem wzdłuż koryta rozpraszał żarłoczną tłuszcę i zostawiał na placu paru nieprzyjaciół.

Jeździłem z Ojcem patrzeć, jak znaczone do cięcia ogromne, proste jak świece i śmigające aż pod niebo sosny; samej czynności nie widziałem, bo mnie Ojciec do niej nigdy nie zabierał. Ale potem jeździliśmy znów razem na porębę, z której pojedyncze sztuki, ogołoczone troskliwie z gałęzi, wywożono na bindugę do Różana, Szelkowa czy Sielunia, albo poprostu do Bindużki. W miarę jak z tym kończono, poręba pokrywała się pięknie ustawionymi sążniami pośledniejszego drzewa i grubych gałęzi; robiło się przestronnie i jasno.

Czasami wyjeżdżało się poza bór. Pierwszy mój wyjazd do Makowa pozostał mi na zawsze w pamięci. Po śnieżnej zimie przysła od razu ciepła wiosna. Któregoś poobiedzia siedliśmy we dwóch jak zawsze, na bryczkę, Ojciec objął mnie ramieniem: ruszaj! Ale gdyśmy podjechali ku miastu, nagła trwoga ścisnęła serduszko: droga, zarośla, pola – wszystko było pod wodą. To Orzyc rozlał tak, że podobnego widoku starzy nie pamiętali i niósł się wolno, wspaniale gdzieś od granicy Prus Książęcych ku niedalekiej już Narwi, która musiała chyba wyglądać jak morze. Droga była znaczna, zboczyć niepodobna. Po chwili jechaliśmy już stępa po wodnym przestworze; oto już i most, na szczęście zupełnie pewny, choć woda idzie przez wierzch. Za mostem od razu prowadzi uliczka w górę ku rynkowi. Już bryczka terkocze po nierównym bruku, a jeszcześmy w wodzie, dopiero dalej wydostajemy się nareszcie na suche. Woda tak mnie zajęła, że nie bardzo nawet zwracałem uwagę na powiatowe miasto, które – wieku szczęśliwy! – musiało mi się wydać dużym i ładnym. Powrót był o zmierzchu. Gdyśmy się już znaleźli na swojej stronie rzeki, przebyte wrażenia odniosły zwykły skutek. Woda szeleściła po szprychach kół, miarowym krokiem szły konie: chlup – chlup! chlup – chlup! Przytulony do Ojca zasnąłem i obudziłem się dopiero wtedy, kiedy bryczka stanęła przed domem a Matka, wybiegłszy przed ganek, wyciągnęła rękę, żeby mnie zsadzić na ziemię.

Wkrótce potem zachorowałem po raz pierwszy: dostałem gorączki, migdałki z obu stron gardła powiększyły się tak silnie, że przełykać mogłem z największą trudnością i dojmującym bólem. Matka była przerażona. Ojciec kazał zakładać i wkrótce pędziliśmy do Makowa, który teraz zdawał się o wiele dalej, niż zwykle. Zaczny lekarz pan Rucz (na makowskim cmentarzu,

gdzie od dawna spoczywa, nazwisko jego wypisano: Rutsch, ale je pamięć moja całe życie przechowała w polskiej postaci, niechże więc tak zostanie) doktor tedy Rucz uspokoił Rodziców, zarządził co trzeba, poradził, aby sprawy nie zanieczywać i gdy chłopiec będzie starszy, migdałki wyjąć albo przynajmniej przyciąć. Mój Boże, chłopiec był dobrze starszy, gdy mu po niezliczonych anginach, już jako profesorowi Uniwersytetu Poznańskiego, przyciął je znakomity uczony prof. Jurasz ojciec, spełniając tym sposobem zalecenie skromnego makowskiego lekarza.

W upalne letnie dni jeździliśmy na kąpiel w Orzycu do Smrocka. Panie, które się kąpały w długich, prawie do ziemi koszulach, miały wybrane doskonałe miejsce, zasłonięte krzewami olszyny, gdzie woda była niegłęboka, a dno twarde. Tu pod dobrą opieką zostawał zupełnie jeszcze mały mój brat Tadeusz. Ze mną powtarzała się zawsze ta sama historia. Ja chciałem koniecznie z Tatusiem; Ojciec nie miał nic przeciwko temu, ale za to miała Matka: „bo ty nie będziesz na niego uważał”. Ostatecznie Ojciec przyrzekał, że będzie uważał i obaj mężczyźni szli dalej, gdzie rzeka była znacznie szersza i głębsza (czy był tam młyn? czy była zastawa?). Ojciec, pływając wybornie, pokazywał różne sztuki malcowi, który musiał stać na wskazanym miejscu przy brzegu. Był zachwycony i szczęśliwy, choć odczuwał nieraz przejmujący niepokój, gdy nurek trwał zbyt długo.

Wczesną jesienią, czwartego września, wybraliśmy się na odpust do Świętej Rozalii; tak zwie się zapewne do tej pory stary drewniany kościół św. Rozalii poświęcony, stojący samotnie wśród lasów. Raz do roku, w dzień swojej patronki, kościółek się ożywia: zjeżdżali księża z sąsiednich parafii, pieszo, konno, zaprzęgami ściągali dorodny lud z Puszczy i zza Orzyca; rozstawione kramy wabiły oko mnóstwem rzeczy pobożnych i użytecznych, pięknych i smakowitych; żebraków obojga płci zastępy niezliczone, starych i młodych, zdrowych i kalekich, wykrzykujących, grających i śpiewających. Czegóż podobnego nigdy jeszcze w życiu nie widziałem.

Jechało się niewysokim, suchym, „czerwonym” borem, lecz oddalwszy się dobrze od domu, wjechaliśmy w mieszany, mokry „czarny” las. W takim lesie przejechaliśmy obok leżącego prawie na drodze dużego gada. To nie był nieszkodliwy wąż zaskroniec, lecz jadowita żmija. Ojciec kazał zatrzymać konie, mimo próśb Matki podszedł do gada z kijem w rękę, trzasnął w łeb i za chwilę na kiju pokazał nam obitą gadzinę. To była sztuka!

W tym czasie odbyliśmy też z ojcem prawdziwą daleką podróż, własnymi końmi do Pułtuska, stamtąd karetką pocztową do Nasielska i koleją do Warszawy. Ojciec wybrał się w tę podróż zaraz po przeniesieniu się do Wąskiego Lasu, żeby zobaczyć się z bratem Bolesławem, który ciężko zapadł na zdrowiu w dzierzawionym przez siebie młynie w Mogielnicy, wkrótce

potem zmarł. Z podróży tej, która trwała kilka dni, została mi w pamięci karetką, wagon kolejowy i widok straszliwego pożaru Nowego Dworu, koło którego przejeżdżaliśmy wieczorem; morze czerwonych płomieni i drobne czarne postacie uwijających się koło ognia ludzi. Reszta splątanych wrażeń utonęła w ogromnym zmęczeniu, które u tego syna Puszczy przejawiało się najczęściej w mocnym, zdrowym śnie.